

**GRABIŃSKI
STEFAN**

ŚLEPY TOR

Grabiński Stefan

Ślepy tor

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23531266
Ślepy tor:

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

12

Stefan Grabiński

Ślepy tor

W pociągu osobowym zmierzającym późną jesienną porą do Gronia ścisk był ogromny; przedziały pozapełniane po brzegi, atmosfera parna, gorąca. Z braku miejsca zatarły się różnice klas, siedziano i stano, gdzie się udało, prawem prastarego kaduka. Nad chaosem głów paliły się lampy mdłym, przyćmionym światłem, które spływało z pułapów wagonowych na twarze znużone, profile wymięte. Dym tytoniu unosił się kwaśnym wyziewem, wyciągał pod długi, siwawy sznur w korytarzach, kłębił tumanami w czeluściach okien. Jednostajny łomot kół nastrojał nasennie, przytwierdzał monotonnym stukaniem drzemocie, która rozpanoszyła się po wozach. Tak-tak-tak... Tak-tak-tak...

Tylko jeden z przedziałów klasy III, w piątym wozie od końca, nie poddawał się ogólnemu nastrojowi; zespół gwarny tu był, rześki, ożywiony. Uwagę podróżnych opanował wyłącznie mały, garbaty człowieczek w mundurze kolejarza niższego typu, który opowiadał coś z przejęciem, podkreślając słowa gestykulacją barwną i plastyczną. Skupieni wkoło słuchacze nie spuszczaali zeń oczu; niektórzy powstali z miejsc dalszych i zbliżyli się do ławki środkowej, by lepiej słyszeć; paru ciekawych wychyliło głowy przez drzwi od sąsiedniego przedziału.

Kolejarz mówił. W wypłowiałym świetle lampy, drgającej w

podrzutach wozu, poruszała się głowa jego duża, niekształtna, w wichurze siwych włosów, taktem dziwacznym. Szeroka twarz załamana nieregularnie na linii nosa to bladła, to nabiegała purpurą w rytm krwi burzliwy: wyłączna, jedyna, zacięta twarz fanatyka. Oczy ślizgające się w roztargnieniu po obecnych gorzały żarem myśli upartej, od lat syconej. A jednak człowiek ten miewał momenty piękne. Chwilami, zdawało się, znikał garb i szpetota rysów, a oczy nabierały szafirowego blasku, pijane natchnieniem, i postać karła tchnęła szlachetnym, porywającym za sobą zapachem. Za chwilę przeobrażenie gasło, rozwadniało się i w gronie słuchaczy siedział tylko zajmujący, lecz potwornie brzydki narrator w kolejowej bluzie.

Profesor Ryszpans, chudy, wysoki pan w jasnopopielatym kostiumie, z monoklem¹ w oku, przechodząc dyskretnie przez zasłuchany przedział, nagle zatrzymał się i spojrzał uważnie na mówiącego. Coś go zastanowiło; jakiś zwrot wyrzucony z ust garbusa przykuł go na miejscu. Oparł się łokciem o żelazną sztabę przegródki, zacisnął monokl i słuchał.

– Tak, moi państwo – mówił kolejarz – w ostatnich czasach istotnie zagęszczają się zagadkowe zdarzenia w życiu kolejowym. Wszystko to zdaje się mieć swój cel, zmierza ku czemuś, oczywiście, z nieubłąganą konsekwencją.

Zamilkł na chwilę, zdmuchnął popiół z fajeczki i zagadnął:

– A o „wagonie śmiechu” nie słyszał nikt z szanownych gości?

– Istotnie – wmieszał się profesor – czytałem przed rokiem

¹ monokl – pojedyncze szkło korekcyjne. [przypis edytorski]

coś o tym w gazetach, lecz pobieżnie i nie przypisując rzeczy żadnej uwagi; historia zakrawała na dziennikarską plotkę.

– Gdzie tam, łaskawy panie! – zaprzeczył namiętnie kolejarz, zwracając się w stronę nowego słuchacza. – Ładna mi plotka! Prawda oczywista, fakt stwierdzony zeznaniami naocznych świadków. Rozmawiałem z ludźmi, którzy sami tym wagonem jechali. Odchorowali jazdę po tygodniu każdy.

– Proszę opowiedzieć nam dokładniej – odezwało się parę głosów – ciekawa historia!

– Nie tyle ciekawa, ile wesoła – poprawił karzeł, potrząsając lwią swą czupryną. – Oto krótko i węzłowato wncił się rok temu pomiędzy solidnych i poważnych towarzyszy jakiś krotochwilny² wagon i grasował przez dwa tygodnie z górą po liniach kolejowych ku uciechu i utrapieniu ludzi. Krotochwilność bowiem była podejrzanego natury i czasami wyglądała na złośliwość. Ktokolwiek wsiadł do wozu, wpadał od razu w nader pogodny nastrój, który niebawem przechodził w wybujałą wesołość. Jakby po zażyciu gazu rozweselającego ludzie wybuchali śmiechem bez żadnego powodu, trzymali się za brzuchy, gięli do ziemi w potokach łez; w końcu śmiech przybierał groźny charakter paroksyzmu: pasażerowie ze łzami demonicznej radości wili się w konwulsjach bez wyjścia, jak opętani rzucali się po ścianach i rechocząc jak stado bydła, toczyli z ust pianę. Co parę stacji trzeba było wynosić z wozu po kilku tych nieszczęśliwych szczęśliwców, gdyż zachodziła

² krotochwilny (daw.) – żartobliwy. [przypis edytorski]

obawa, że w przeciwnym razie po prostu pękną od śmiechu.

– Jakże reagowały na to organa kolejowe? – zapytał, korzystając z przerwy, krępy, o energicznym profilu inżynier Zniesławski.

– Zrazu sądzili ci panowie, że wchodzi w grę jakaś zaraza psychiczna, która z jednego gościa przenosiła się na innych. Lecz gdy podobne wypadki zaczęły się powtarzać codziennie i zawsze w tym samym wozie, wpadł jeden z lekarzy kolejowych na genialny koncept. Przypuszczając, że w wagonie tkwi gdzieś lasecznik śmiechu, który ochrzcił naprędce imieniem *bacillus ridiculentus*³ lub też *bacillus gelasticus primitivus*, poddał zapowietrzony wóz bezzwłocznej dezynfekcji.

– Cha, cha, cha! – huknął nad uchem nieźrównanego *causeura* zawodowo interesowany sąsiad, jakiś lekarz z W. – Ciekaw jestem, jakiego też użył środka odkażającego: lizolu czy karbolu?

– Pomylił się szanowny pan; żadnego z wymienionych. Oblano nieszczęsny wagon od dachu po szyny specjalnym przetworem wynalezionym *ad hoc* przez wspomnianego doktora; była to tak nazwana przez wynalazcę: *lacrima tristis*, czyli „łza smutnego”.

– Chi, chi, chi! – krztusiła się w kącie jakaś dama. – Co za złoty z pana człowiek! Chi, chi, chi! Łezka smutnego!

– Tak, łaskawa pani – ciągnął niewzruszony garbus – bo wkrótce po puszczeniu w ponowny obieg uzdrowieńca kilku

³ *bacillus ridiculentus* (łac.) – bakcyl śmiechu. [przypis edytorski]

podróżnych odebrało sobie w nim życie wystrzałem z rewolweru. Takie eksperymenta mszczą się, łaskawa pani – dokończył kiwając smutno głową. – Radykalizm w takich razach niezdrowy.

Na chwilę zapadło milczenie.

– W parę miesięcy potem – podjął gawędę funkcjonariusz – rozeszły się po kraju alarmujące pogłoski o pojawieniu się tzw. „wozu transformacyjnego” – *carrus transformans*, jak go przezwał jakiś filolog, podobno jedna z ofiar nowej plagi. Pewnego dnia zauważono dziwne zmiany w powierzchowności kilkunastu pasażerów, którzy odbywali podróż w tym samym fatalnym wozie. Oto rodzina i znajomi, oczekujący na dworcu, nie mogli w żaden sposób przyznać się do witających ich serdecznie osobników, którzy wysiedli z pociągu. Pani sędzina K., młoda i powabna brunetka, ze zgrozą odepchnęła od siebie opasłego jegomościa z potężną łysiną, który utrzymywał uparcie, że jest jej mężem. – Panna W., śliczna 18-letnia blondynka, dostała spazmów w objęciach siwiutkiego jak gołąb i podagrycznego staruszka, który zgłosił się do niej z bukietem azalii jako „narzeczony”. Natomiast podeszła już w lecjach pani radczyni Z. z miłym zdumieniem znalazła się u boku eleganckiego młodzieńca, odświeżonego cudownie o lat z górą 40, radcy apelacyjnego i małżonka.

W mieście na wiadomość o tym zrobił się kolosalny huczek; o niczym innym nie mówiono, jak tylko o zagadkowych metamorfozach. Po miesiącu nowa sensacja: zaczarowani panowie i panie powoli odzyskali pierwotny swój wygląd,

wracając do uświęconej losem powierzchowności.

– Czy i tym razem odkażano wagon? – zapytała z zajęciem jakaś dama.

– Nie, łaskawa pani – zaniechano tych środków ostrożności. Owszem, dyrekcja otoczyła wóz szczególną pieczołowitością, gdyż okazało się, że kolej będzie mogła ciągnąć zeń kolosalne zyski. Zaczęto bić nawet specjalne bilety wstępu do cudownego wozu, tzw. bilety transformacyjne. Popyt naturalnie był ogromny. W pierwszej linii zgłaszać się zaczęły całe kolumny staruszek, brzydkich wdów i starych panien, domagając się natarczywie karty jazdy. Kandydatki dobrowolnie podbijały cenę, płaciły w trój- i czwórnasób, przekupywały urzędników, konduktorów, nawet tragarzy. We wozie, przed wozem i pod wozem rozgrywały się dramatyczne sceny, przechodzące niekiedy w krwawe bitki. Kilka sędziwych niewiast w jednej z utarczek wyzionęło ducha. Straszny przykład nie ostudził jednak żądzy odmłodzenia; masakra trwała w dalszym ciągu. W końcu całej tej awanturze położył kres sam cudowny wóz; oto po dwutygodniowej transformacyjnej działalności nagle utracił dziwną swą moc. Stacje przybrały wygląd normalny; kadry roznamiętnionych staruszek i starców odplynęły z powrotem w zacisza domowych ognisk i zapiecków.

Zamilkł i wśród gwaru rozbudzonych głosów, śmiechów i dowcipów na temat poddany przez opowieść wymknął się chyłkiem z *coupé*⁴.

⁴ *coupé* (fr.) – przedział. [przypis edytorski]

Ryszpans szedł w ślad za nim jak cień. Zajął go ten kolejarz w pocerowanej na łokciach bluzie, wyrażający się poprawniej niż niejeden przeciętny inteligent; coś go ciągnęło ku niemu, jakiś tajemniczy prąd sympatii pchał w stronę oryginalnego kaleki.

Na korytarzu klasy I położył mu lekko rękę na ramieniu:

– Przepraszam pana. Czy mogę prosić o słów parę rozmowy?

Garbaty uśmiechnął się zadowolony.

– Owszem. Nawet wskażę panu miejsce, gdzie będziemy mogli swobodnie pogadać. Wóz ten znam na wylot.

I pociągnąwszy profesora za sobą, skręcił w lewo, tam gdzie pierzeja przedziałów załamując się przechodziła w korytarzyk wiodący na platformę. Tu wyjątkowo nie było w tej chwili nikogo. Kolejarz wskazał towarzyszowi ścianę zamykającą ostatnie *coupé*.

– Widzi pan ten mały gzysmik tu w górze? To jest zamaskowany zamek; skrytka dla dostojników kolei w wyjątkowych wypadkach. Zaraz ją oglądniemy dokładniej.

Odsunął gzysm, wy dobył z kieszeni konduktorski klucz i założywszy w otwór, przekręcił. Wtedy gładko odwinęła się w górę stalowa stora⁵, odsłaniając malutki, wytwornie urządzony przedział.

– Proszę do środka – zachęcił kolejarz.

Po chwili siedzieli na miękkich, polstrowanych⁶ poduszkach, odcięci od gwaru i ścisiku zapuszczoną z powrotem storą.

⁵ stora – zasłona. [przypis edytorski]

⁶ polstrowany (z niem.) – wyściełany. [przypis edytorski]

Funkcjonariusz patrzył na profesora z wyrazem oczekiwania na twarzy. Ryszpans nie spieszył z pytaniem. Zmarszczył czoło, zasadził mocniej monokl i pogrążył się w zadumę. Po chwili zaczął, nie patrząc na towarzysza:

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.